

— Puść mnie pan teraz, panie Dossenau, już odzyskałem zupełnie przytomność — rzekł Wolfgang spokojnie.

— No, chwala Bogu, że już koniec tych złudzeń! Wiedziałem dobrze, że kokieteria tej wietrznicy opęta pana i wyrządzi ci niemało przykrości. Wiedziałem o tem, bo znam to stworzenie nawskróś, jak i całą rodzinę tego króla kolejowego.

— Panie! mnie ktoś uderzył! Zdaje mi się, że to hr. de Rivalier.

— Tak. Francuz rzucił się na pana w chwili, gdy już miał ręką dosięgnąć ramienia Ellinory i uderzył cię pięścią w głowę. Niestety o kilka sekund przybyłem za późno i uderzenia powstrzymać już nie zdołałem.

— Ja muszę załatwić rachunek z tym Francuzem. Czy pan byłby łaskaw użyczyć mi w tem pomocy?

— Pomówimy o tem, nie usuwam się od niczego, ale przedewszystkiem musisz pan załatwić rachunek ze samym sobą i zrozumieć wreszcie, że pański pobyt w tym zamku jest nadal wprost niemożliwy.

— Odjadę jutro.

— Dokąd?

— Do miasta — skąd przybyłem.

— Pozwólże pan powtórzyć sobie jeszcze moje serdeczne zaproszenie. Pan jesteś chory, panu potrzeba otrząść się z tych wrażeń i wzruszeń. Ja ci będę lekarzem, a cisza leśna koło mego zamku, będzie lekarstwem. Może się tam znajdzie jeszcze jakieś inne, skuteczniejsze!

— W tej chwili mam takie usposobienie, że chciałbym się znaleźć sam jeden, gdzieś daleko od świata i ludzi.

— Wszystko to dobrze rozumiem i dlatego właśnie jeszcze raz zapraszam pana do siebie, bo u mnie spokój znajdziesz. Chodźmy stąd teraz, odprowadzę pana do pokoju, tam sobie jeszcze pomówimy.

Doktor popadł w apatię, będącą naturalnem następstwem gwałtownych wzruszeń i uniesień i bez oporu dał się do mieszkania zaprowadzić. Dossenau posadził go w fotelu, zapalił fajkę i zaczął dość obojętnie:

— W pańskim wieku przytrafia się to nie jednemu. Nie długo będziesz się pan śmiał z tego. Nie taki dyabeł straszny — jak go malują, nie taka też to straszna ta przygoda pańska.

— Ale zniewaga zniewagą i tej nie puszcę płazem. Przrzekł mi pan pomoc, więc nie mając tu nikogo bliższego, w pańskie ręce oddaję mój honor.

— Dobrze, dobrze; ale pod jednym warunkiem, mianowicie, że mi pan przrzeknie pojechać do mnie. Ja już moją sprawę załatwiłem, więc jutro wyjeżdżam.

— Zgadzam się i przyjmuję pańską gościnność, ale proszę wpierw uczynić wszystko, aby sprawa honorowa przed naszym wyjazdem załatwioną została.

— Teraz już późno o tem mówić, chodźmy spać. Jutro rano całą rzecz ułożymy. No, dobranoc ci kochany doktorze, śpij spokojnie, nie myśl o tej wietrznicy, a jutro załatwimy resztę.

Uściskał serdecznie Wolfganga i wyszedł.

Doktor do późnej nocy siedział w apatii, bezsenny, zgnębiony. Dopiero na ranem zasnął spokojnie.

V.

Uderzyła godzina siódma rano, doktor spał jeszcze twardo. Do drzwi zapukano raz, drugi i to dosyć natarczywie, aż doktor zerwał się na równe nogi, z twardego snu nagle zbudzony i pospieszył ku drzwiom. Otworzył je prędko i spostrzegł lokaja z listem.

— Co się stało? — zapytał niecierpliwie Wolfgang, na pół rozespany.

Służący oddał list w milczeniu i szybko się oddalił. Wybiwszy się już zupełnie ze snu, zaczął sobie Wolfgang przypominać wydarzenia wczorajsze i zdawało mu się, że to wszystko sen jakiś dręczący.

Gdy mu się już wszystko z całą jaskrawością przypominało, ogarnęła go wściekłość prawdziwa

na świat, na ludzi, na samego siebie. Co ten list znaczy? Poznał pismo Mühlendorfera, rozdziera kopertę i czyta:

„Wielmożny Panie Doktorze! Dowiedziałem się w tej chwili od mojej córki Ellinory, że pan wczorajszego wieczoru zachowałeś się wobec niej w sposób dziwny i niezwykły, poczytując sobie więc za obowiązek natychmiast pana uwiadomić, że nie będę wcale sprzeciwiał się temu, jeżeli Pan mój zamek natychmiast opuścić zechce. Służba moja otrzymała rozkaz, żeby bezzwłocznie wykonywała pańskie zlecenia, tyżące wyjazdu do najbliższej stacji drogi żelaznej. Nie potrzebuję zapewne dodawać, że będzie mi bardzo miło, jeżeli pan uniknąć zechcesz przed swoim odjazdem, wszelkiej styczności zarówno z moją rodziną, jak i z moimi gośćmi. Uprzedzam też Pana, że daremnie byś się trudził pisaniem jakichkolwiek wyjaśnień pod moim adresem, bo postanowiłem żadnych nie



Biegnie za Ellinorą, chce ją dopędzić. Ona ucieka szybko.

przyjmować. Za rozpoczęte trudy biblioteczne załączam kwartalne honorarium. Pochlebiam sobie, że pan wyrażoną tu prośbę uzna za zupełnie usprawiedliwioną i dla Pana obowiązującą. Niech mi wolno będzie przytem w imieniu hr. de Rivalier wyrazić ubolewanie, że bez żadnego zamiaru obraził Pana wczoraj. Nie zrozumiał należycie sytuacji, zdawało mu się, że działa we własnej obronie i dlatego postąpił tak, jak tego wcale nie pragnął. Prosił mnie, bym w jego imieniu wyraził Panu ubolewanie i szczerze przeproszenie. Jestem pewien, że ta uprzejmość hr. de Rivalier, wychowanego w zasadach honoru, będzie dla Pana zupełnie dostateczną rękojmią, że honor pański nic nie ucierpił i że Pan nie potrzebuje już żadnej innej akcji podejmować dla zadowolenia uczuć honorowych. Zapewniam Pana o mojej życzliwości, gotów zawsze do użyczenia Panu wszelkiej pomocy i protekcji — Gustaw Mühlendorfer“.

Wolfgang zaśmiał się szyderczo, krew trysła mu do głowy, pięść zacisnął, zmiażdżył list i pieniądze, rzucił na podłogę i podeptał. Chciał się na-

tychmiast zabrać do układania swych rzeczy, ale uczuł takie osłabienie, że musiał spocząć. Ale ten spoczynek był nową męczarnią, bo ogarniały go ponure myśli, gwałtowne uczucia. Wszystko się w nim rozstrząsało, kłębiło i opanować się nie mógł. Lekceważący i pogardliwy ton listu był obrazą, nie mniej dotkliwą, niż wczorajsze uderzenie hrabiego. Trzeba żądać zadośćuczynienia. Dwukrotnie znieważony, nie odjedzie przecież, nie pomściwszy zniewagi.

Zdawało mu się, że się udusi. Zrywa się, biegnie do okna, otwiera je na oścież, ażeby orzeźwić się, ochłoniąć. Postąpił chwilę w otwartym oknie; powiew świeżego powietrza ochłodził mu rozpaloną głowę, ostudził wzruszenia. Odwrócił się od okna, żeby zająć się ułożeniem rzeczy, w tem posłyszał jakiś szelest za plecyma, jakby coś lekkiego spadło na podłogę. Obraca się i spostrzega różowy liścik, widocznie wrzucony przez okno. Domyślił się łatwo, że to Ellinor ukryta gdzieś za drzewami, czatowała rychło okno otworzy, aby list ten wrzucić. Krew mu uderzyła do głowy. W pierwszej chwili uczuł jakąś pogardę i nienawiść dla tej rusałki i chciał ten list deptać i odrzucić nogą, ale urok owego wieczoru nad wodospadem jeszcze widać nie przeminął, bo w lot zmienia się pierwotne uczucie pogardy i nienawiści, w jakiś niepokój, a potem w dziwną ciekawość.

A może ona nie winna? — zadawał sobie pytania. Trzeba być zawsze sprawiedliwym i nie potępiać pod pierwszym wrażeniem. Może w tym liście usprawiedliwia się, tłumaczy, wyjaśnia? Więc podniósł list i schował go prędko do kieszeni. Zanim zebrał się na odwagę, żeby go odczytać, rozwarły się drzwi i wszedł Dossenau.

— Dzień dobry ci kochany sąsiedzie. Sądzę, że usłuchałeś mojej rady i spałeś spokojnie. Oho! pieniądze, list na podłozie? co to znaczy, jeżeli spytać wolno?

Wolfgang podniósł list z podłogi i wręczył go sąsiadowi. Dossenau przeczytał i obojętnie rzucił na podłogę.

— Cóż pan na to? — zapytał Wolfgang.

— A nic.

— Wszakżeż to obraza dla mnie dotkliwa.

— Nie, kochany doktorze, to nie jest obraza pańskiej osoby, tylko zwykłe kręactwo tego dorobkiewicza. Dziwiłbym się bardzo, gdybyś pan to sobie za obrazę poczytywał. Nawet według wszelkich form i zwyczajów, praktykowanych w takich sprawach, nie możnaby za ten list wyzwać Mühlendorfera.

— Ale Francuzowi darować nie mogę.

— E, najlepiej uczynisz zapomnając o wszystkim. Zresztą przeprosił, uznał winę.

— Tych kilka frazesów nie dla mnie żadnem zadośćuczynieniem.

— Być może. Dowodzą one atoli, że hr. de Rivalier pojedynku by nie przyjął, usuwając się od niego pod jakim takim błahym pozorem.

— Można go zmusić do tego.

— Zapewne — mówił Dossenau dobitnie, z takim, ironicznym uśmiechem. Można przedłożyć całą sprawę w ambasadzie francuskiej. Zemsta byłaby znakomita. Hrabia zostałby skompromitowany i zapewne zniewolony do usunięcia się ze swego stanowiska; kokieteria i obłuda tej wietrznicy wyszłyby na jaw, a w dodatku król kolejowy straciłby protektora i wszystkie jego plany: w bogaceniu się budową kolei we Francji, poszłyby w niwecz. No — zemsta prawdziwa, ale — czy dna z twojem usposobieniem? Ot, pluń na to, nizcy, aby cię obrazić zdołali. Na to wszystko najlepszą odpowiedzią pogardliwe milczenie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

